

PORZUCONY FORTEPIAN

Piotr Szarota: *Wiedeń 1913*. Wydawnictwo
Słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2013,
s. 380.

Tuż przed rzezią, która zakończyła okres świetności naszego kontynentu, Europejczycy nieźle się bawili. Tyle że w tej zabawie krył się już niebezpieczny wirus.

Kto wie, może wyjątkowa wartość książki Piotra Szaroty – barwnie opisującej wszystkie rozedrgania tamtego miejsca i epoki – ma swe źródło w fakcie, że jej autorem jest nie historyk, ale profesor psychologii? W dodatku człowiek, który wyczuwa je niejako „genetycznie” – jako prawnuk Eleonory Kalkowskiej, polsko-niemieckiej dramatopisarki i poetki, oraz Marcelego Szaroty, dyplomaty kierującego poselstwem polskim w Wiedniu tuż po pierwszej wojnie światowej. Polski psycholog doskonale wyczuwa paradoksalność stolicy Austro-Węgier. Wszak z jednej strony było to centrum wielkiego imperium, punkt odniesienia dla kilkunastu narodów, partner i konkurent Paryża, Londynu, Berlina, Petersburga. Z drugiej miasto, w którym wszystko, co ważne, rozgrywało się w dusznej przestrzeni kilku knajp, salonów i redakcji.

W roku 1913 na wiedeńskiej ulicy z całą pewnością mijali się, nie zawsze mówiąc sobie „dzień dobry”, Zygmunt Freud i Hermann Broch, Friedrich Hayek i Richard Coudenhove-Kalergi (późniejszy propagator idei „Europy od Polski do Portugalii”), Arnold Schönberg i Karol Szymanowski, Adolf Hitler i Lew Dawidowicz Trocki (obydwaj próbowali wówczas swoich sił w sztuce: pierwszy jako malarz, drugi jako krytyk), Stefan Zweig i Adolf Loos, Józef Wissarionowicz Dżugaszwili i Albert Einstein. Tylko tu życie mogło potoczyć się tak, jak w przypadku Almy Mahler, wdowy po kompozytorze, która po jego śmierci wiązała się z kolejnymi geniuszami: a to z Franzem Werflem, który pod jej skrzydłami stał się literacką gwiazdą, a to z Oskarem Kokoschką, malarzem, któremu ułatwiła karierę, a to z Walterem Gropiusem, założycielem Bauhausu...

Tak, Wiedeń początku XX wieku to niewątpliwie wulkan geniuszu, choć w przyszłości miało się okazać, że po części był to geniusz zła. Dwuznaczność tamtej atmosfery, autodestruktywność niezwyklej energii opisywał Wickham Steed, korespondent „Timesa”, który w 1913 marzył już tylko o powrocie do Londynu: *Nigdzie na świecie nie ma takiego skupiska talentów jak w Wiedniu, talentu do wszystkiego (...). Ale jest to talent szczególnego rodzaju, który nieprzywiązany do niczego, wisi w powietrzu (...). Ludziom brakuje woli. Wiedeński talent jest jak porzucony fortepian, który zawiera w sobie cały potencjał dźwięków, ale głucho milczy*. Szarota cytuje też Roberta Musila, który zauważał: *Cekania miała konstytucję liberalną, ale rządy klerykalne. Rządzono nią klerykalnie, ale żyło się wolnomyślnie. Wobec prawa wszyscy obywatele czuli się równi, ale niekoniecznie wszyscy czuli się obywatelami (...). „Coś się przydarzyło” – mówiono w Cekanii, podczas gdy inni ludzie, gdzie indziej myśleli, że stało się Bóg wie co. (...) Cekania była chyba jednak krajem wymarzonym dla geniuszy. I prawdopodobnie dlatego zginęła. Czy znakiem tego stanu, ale i zapowiedzią katastrofy nie były liczniejsze chyba tutaj niż gdzie indziej samobójstwa i przypadki gwałtownej śmierci?*

W książce znajdziemy mapę powiązań rodzinnych i środowiskowych, czasem mocno skomplikowanych i dwuznacznych. Dowiadujemy się np., że Friedrich Hayek był kuzynem Ludwiga Wittgensteina, ten ostatni zaś przyjaźnił się z Georgiem Traklem. Że na koncercie, podczas którego wygwizdano Schönberga, był najpewniej młody Hitler. Że Franz Kafka i Joseph Roth słuchali tych samych

wykładów podczas wiedeńskiego kongresu syjonistycznego, jednakowo sceptycznie. Może ta mapa właśnie – niczym genodram w psychoterapii – pomogła autorowi skreślić tak trafne portrety wiedeńczyków. Nie tylko tych „pierwszolicznych”. Bohaterami *Wiednia 1913* są także ludzie nieco dziś zapomniani, często niesłusznie, jak wywodząca się z Sanoka Broncia Koller, uchodząca swego czasu za jedną z najwybitniejszych malarek austriackich. Po niektórych nie pozostało żadne wielkie dzieło, współtworzyli jednak swoją epokę. Inni uczestniczyli w polemikach, które rozpalały umysły ówczesnego Wiednia – a które mają konsekwencje i dzisiaj. Szarota relacjonuje np. pasjonujący (choć chyba oczywisty w mieście narodzin psychoanalizy) spór o naturę kobiecości. Przypomnijmy: mówimy o czasach, w których mizoginizmem buchała cała twórczość Alfreda Kubina, Adolf Loos projektował lokal „tylko dla mężczyzn” (słynny Kärtner Bar), a Otto Weininger pisał: *Kobieta nie jest ani głęboko, ani wzniosłe myśląca, nie jest w myśleniu bystra; o czasach, gdy wizyta u prostytutki była czymś naturalnym, a odejście żony od męża – skandalem*. W odpowiedzi w czerwcu 1913 roku zwołano w Wiedniu Międzynarodowy Kongres Kobiet. Wśród kilkudziesięciu uczestniczek z Europy i Ameryki były dwie laureatki Nagrody Nobla – działaczka społeczna i polityczna Bertha von Suttner oraz pisarka Selma Lagerlöf. Panie wsiadły też (to prawda: jeszcze w długich i niewygodnych spódnicach) na rowery.

Szarota przypomina również ważną debatę tożsamościową, która toczyła się wówczas wśród żydowskiej inteligencji. Jej uczestnicy, jak się zdaje, zlekceważyli narastające wówczas w Wiedniu tendencje antysemitki, odnosząc je nie do siebie, ale do przybyszów z galicyjskich i bukowińskich sztetli. Zweig uważał, że pomysły Herzla odnosić się mogą najwyżej do biedoty ze Wschodu, dla której i tak nie ma miejsca w Europie. Także Kafka wyrażał się o syjonizmie z ironią i dystansem – z innej jednak perspektywy, ku zgrozie rodziny interesował się bowiem kulturą jidyszową i duchowością chasydzką. Freud nie miał najmniejszych problemów ze swoją podwójną identyfikacją – niewierzącego Żyda i dobrego Niemca (choć oskarżany, że psychoanaliza to żydowski wynalazek, namiętnie szukał Aryjczyka, który by ją „uprawomocnił”). Niestety, uczestnicy tych debat nie zdawali sobie jeszcze sprawy, że pewien niepełniony malarz, jeden z ich wiedeńskich sąsiadów, sprawi za jakiś czas, że ich sądy nie będą miały najmniej-

szego znaczenia. Pod koniec opisywanego przez Szarotę roku baronowa von Suttner – szanowana pacyfistka i współzałożycielka austriackiego Stowarzyszenia do Walki z Antysemityzmem – mówiła przyjaciółom podczas kolacji, że wojny z całą pewnością nie będzie w Europie przez najbliższe sto lat... Ta anegdota to ważne *memento*.

Na koniec jedna tylko uwaga krytyczna: ta świetnie napisana książka aż prosi się o solidny indeks nazwisk.

Agnieszka Sabor

CZUĆ POEZJĘ TAK JAK BLUESA

Agnieszka Wolny-Hamkało: *Inicjał z offu*.
Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 2012,
s. 96.

Inicjał z offu Agnieszki Wolny-Hamkało to pełna pasji opowieść o przygodzie, jaką jest, a raczej może być, czytanie wierszy. Nie jest to żaden górnolotny esej, wysublimowana krytyka, dziennik tropiciela. To raczej skromny wirydarz, zbiór narracyjnych miniatur obudowanych wokół wierszy, naznaczony przede wszystkim emocjonalnością i sensualnością. Każdy wiersz zostaje potraktowany jako rozwinięcie sprozaizowanego wstępu, podprowadzenie do przeżycia (bo przecież nie rozwiązania!) zagadki, tajemnicy, tajemniczki wręcz. Autorka zna się na tym, bo sama jest poetką, wie, jakimi krętymi drogami biegnie czasem zamysł kadrującego obraz, zamysł poety. Wiersz staje tu zawsze w centrum opisywanej historii, jak soczewka, zwierciadło, które w zamknięciu nierzadko odwraca początkowy bieg słów i zdarzeń, rozszczepia to, co było spójne, rozdwa, co było pojedyncze. Jak sądzę, wybrane utwory nie są szczególnie emblematyczne dla dysput krytyczno-literackich, umyślnie nieco na chybił trafił, w poprzek poetyk. Dwadzieścia cztery impresje zogniskowane wokół wierszy wydanych w ostatnich dwudziestu latach, od *Życia na Korei* Andrzeja Sosnowskiego (jeszcze dalekiego od „sosnowszczyzny”) po wiersz Marcina Barana ze zbioru *Niemal całkowita utrata płynności*, dodajmy – nagrodzonego nagrodą „Silesiusa” ledwie kilka miesięcy temu. Spójna jest metoda lektury i bajania, różna dramaturgia. To, co